

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.



Lwów, 15 kwietnia 1848.

Rok dziewiąty.

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincyi chcący odbierać pocztą dotychczas do cen powyższych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem redakcyi Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcyja ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosyi prenumerata składa się na pocztach.

Słów kilka o wychowaniu wiejskiego ludu.

I.

Śród uniesień, któremi wschodzącą jutrzeńkę wolności witamy, śród uściśnień braci męczenników, śród radośnych uczuć na widok tej rycerskiej młodzieży, która broń świętym celom poświęconą dzierży w swej dłoni, nie zapominajmy ani na chwilę na to, co jest żywotnym warunkiem odrodzenia się naszego. Nie byłibyśmy godni tej wolności, która nam zaświatała, tej przyszłości, na którą kaźden z nas tęsknie zwrócił oko, gdybyśmy w samolubnym celu miliony rodaków wykluczyć chcieli od tych swobód, które opatrność na nas zlewać zaczyna. Posiłków przedewszystkiem dla tej średniej klasy, która jest najwierniejszą strażą publicznego dobra! Patrzcie, jaki ogrom materiału nagromadzon w dzielnicach wiejskiego ludu — dłueto oświaty nie tknęło go przecież jeszcze, i duch czasu nie zdołał ożywić; tam dyszą tylko te żywioły socyalnych wstrząśnień, które jak nieprzygaste wulkany wybuchami niekiedy swe życie oznajmują — przytłummy je póki czas, żeby nam kiedyś groźnem nie zagrzały: „Za późno!“ Nie ociągajmy się zatem, bierzmy się do dzieła, dopełnijmy świętego obowiązku, słowem kształćmy lud wiejski. Nie oglądajmy się w tym względzie na nikogo — rząd nas w tem dziele wesprzeć tylko może — lecz skutecznie takowe przeprowadzić, my tylko zdołamy. Do nas ono należy — wypłaćmy niem ten ciężki dług, który przodkowie nasi zaciągnęli. My obywatele ziemscy, których stanowisko pośród wiejskiego ludu, my bądźmy tą pochodnią, która ciemność roztraca!

Kształcenie wiejskiego ludu dokonane być może tylko usunięciem tych zawad, które materialnemu i mo-

ralnemu dźwignieniu jego nieprzełamaną stawiają zaporę, tudzież dostarczaniem środków bezpośredni wpływ na wychowanie jego wywierających.

Pierwszą i najgłówniejszą zawadą postępu wieśniaka jest bezsprzecznie pańszczyzna. Tam gdzie ta istnieje, chłop musi być gnuśny, dziki, niemoralny. Wszędzie widzimy go przesiąknionym przekonaniem, że ją niesłusznie odrabia, że dług ustawami średniowiekowymi zahipotekowany, pańszczyzną tylu lat wypłacił. Coż się da na to odpowiedzieć? chyba to, co lichwiarz dłużnikowi prawi — Lichwiarza broni niejako jeszcze dobrowolna ugoda, która przecież z powodu ciemnoty zaciągającego na siebie i potomstwo ohydny obowiązek wieśniaka, nie da się usprawiedliwić. Tak jest, pańszczyzna jest najohydniejszą lichwą, albowiem spładza nędzę i moralność trątuje. Gdzież się chłop nauczył, gdzie się uczy lenistwa? Na pańskim. W przekonaniu, że takowe niesłusznie odrabia, próżnuje, gdy się da próżnować, wygląda by dzień jak najrychlej upłynął, ociąga się, zwleka robotę pod różnemi pozorami, słowem uczy się tam lenistwa, które powoli w naturę jego przeszedłszy, i w zachodzie około własnego gospodarstwa zgubne wywiera skutki. Z tej też przyczyny staje się dzikim, mściwym, okrutnym. Pańszczyzna jako przymusowa robocizna tylko pod dozorem bata odbywać się może. Chłop, z którym nieludzko dozorca się obchodzi, dziejeje, zemstę, którą w piersi swej zaprzeć musi, zanosí do domu i tam ją na domownikach wywiera, a ileżto razy zaniósł ją w majątki obywatelskie! Żyjąc dalej w przekonaniu, że darmo na pana pracuje, szuka sam sobie zapłaty, przywłaszczając sobie przy każdej sposobności dobro pańskie — słowem staje się złodziejem — szkodnikiem — nie upatrując w tem nadto nic występnego. Tu oto grób moralności jego. Pańszczyzna, to łańcuch tych nieszczęść wie-

śniaka, którego ostatnimi ogniwami ubóstwo i ciemnota. Możesz ten naród wolnym się nazywać, którego większa daleko połowa niewolnicze dźwiga pęta? Hasłem każdego z nas niech będzie zniesienie pańszczyzny, tego smutnego znamienia niedojrzałości narodów; — to co naszym moralnym jest obowiązkiem, stało się dzisiaj nieodzowną koniecznością. Pytam się, co za korzyść odnosimy z tego uciemnienia poddanych, przypatrzmy się bliżej tej pańszczyźnie. Sądźmy może, iż ona wartość gruntowej własności podnosi? Ież warta dzisiejsza pańszczyzna, wdrażenie jej zaś w dawny tór jest rzeczą niepodobną. Każdy z nas już teraz przy pilnej robocie większą jej połowę najmem skutecznie musiał — pańszczyzna zatem jest dzisiaj niejako zasiłkiem tylko — ileżto nieraz tracimy na zawodzie, gdy pilna robota nagli, chłop zaś mając równie pilną robotę w domu, nie wychodzi na pańskie, a my nań rachowaliśmy. O korzyści te, które z tego niechętnego i leniwego odrabiania pańszczyzny odnosimy, nie wyrównają najczęściej tym umartwieniom, których z tych powodów doznajemy. Już tu i owdzie szlachetne zaświeciły dary, ci, którzyby za tym pięknym nie poszli przykładem, znajdują w poddanym, widzącym że jego sąsiad pańszczyzny nie odrabia, większy opór i niechęć daleko większą, a zatem stratę tylko. Nie lękajmy się, zniesienie pańszczyzny uszczerbku majątkom naszym nie przyniesie, owszem przemysłowości zbawienny nada kierunek; dotychczas niejedno gospodarstwo leżało odłogiem, sialiśmy wiele, nie pytając częstokroć gdzie i jak, i robocze siły marnowaliśmy; odtąd będziemy należycie uprawiać rolę, a wiercie mi, rola-to żywna żyła złota, która kaźden wkład hojnie wynagrodzi. Niech nam w tym względzie te kraje będą przykładem, w których pańszczyzna nie istnieje, tam wartość gruntowej własności daleko większa i nie szerzą się skargi na niedostatek rąk roboczych. Słyszę zarzut: o, bo tam chłop inny — zrobmy go zatem tym innym — zniesmy pańszczyznę, a będzie tym innym. Nie obawiamy się, że poddany nie pozna się na tym darze — on uzna z wdzięcznością wnet nasze dobre zamiary, nasze szlachetne zachody około dobra jego. Zapewnie nie to niema nie wspólnego z widzeniem rzeczy w najkorzystniejszym świetle. Przypomnijmy sobie tylko, ktożby z nas był powiedział, że chłop tak nagle odwyknie od gorzalki? Słowo posiało to nasienie, ktożby się był spodziewał, że natychmiast zejdzie tak świetnie? a przecież tak się stało; mniemacie, że czyn, gdy nim w oczy wieśniaka zaświecimy, będzie zapoznany? Jedność rodacy — jedność kotwicą naszej pomyślności, któryż z Polaków nie zaciągnął się pod tę chorągiew zbawienia? jedność przecież ginie w każdym rozdwojeniu, a rozdwojenie nie ustanie, gdy materialne korzyści wiejskiego obywatela, z korzyścią poddanego krzy-

zować się będą; kto to rozdwojenie popiera, jest jedności odszczepieńcem.

Chłop nasz czytać nie umie! Mamy wolność druku — te wschody do świątyni oświaty. Coż z tego? skarb ten niedostępny tylu milionom naszego plemienia. Uczmy czytać lud wiejski. Nie zrażajmy się wyobrażeniem niepodobieństwa lub trudności; zastanówmy się raczej ażali w samej rzeczy trudno nam będzie dokonać tego, jeżeli tylko chęć w nas zawita. Zanim szkoły dla ludu się rozpowszechnią, już ten i ów czytać będzie umiał, gdy im tylko pomocną rękę podamy, środkiem niekosztownym, każdemu z nas dostępnym. Naśladowujmy w tym względzie metodę Lankastra. Każda niemal obywatelska familia na wsi ma u siebie nauczyciela dla dzieci lub przynajmniej służącego, który czytać umie; niechaj ten poświęci kilka godzin na tydzień udzielaniu nauki czytania dwom chętnym i pojętym młodym wieśniakom; chęć do tej nauki zbudzić można wyznaczoną nagrodą. Nagrodą włożyć można obowiązek na tych, co już cokolwiek pojęli, by tym samym trybem drugim to udzielili, itd. Metoda ta, która się u nas praktycznie z łatwością da zastosować, połączy dwa cele: w krótkim czasie czytać nauczy i zbliży ku nam lud wiejski. Niechaj cel święty i pewność pomyślnego skutku zasłonią wnioski ten od śmieszności. Niebawem zjawią się też pisemka dla ludu. Pokażmy drogę talentom, które w tej zapoznanej klasie drzymią — one się same dalej kształcić będą, a pośród ludu powstaną nauczyciele dla ludu. Do was stosuję to zacne obywatelki — jak dotychczas serca wasze czule były na cierpienia fizyczne i niosły im szczerą pomoc lekarstw w ofierze, tak odtąd zwróćcie równie uwagę waszą na rozjaśnienie ciemności umysłowej, przyjmcie pod wasz dozor i opiekę kształcenie włościan, czuwajcie nad tem, aby lud wiejski czytać się uczył; a do tych wieńców części, które wasze skronie zdobią, pomyślność wiejskiego ludu najpiękniejszych kwiatów dostarczy.

F. P.

CZEŚĆ STAREJ GWARDY!

*Wiersz napisany do wygłoszenia przy otwarciu wiodowiska mitośników na rzecz uwolnionych więźniów politycznych, dnia 11 kwietnia 1848. *)*

Co nas tu wkoło — ze wszystkich stron
Tej Małopolskiej ziemi,
Jak mała Polska, od świętych bron
Naszej Krakowskiej stolicy,
Aż do Podola przesławnych niw,
I do hołdownej Suczawy,
Po dniach bezprawia, o szczęsny dziw!
W cześć dobrej zebranych sprawy —

*) Przypadkowo wygłoszono natomiast umieszczony w przeszłym nrze *Dzien. wiersz: „Barwy nasze.“*

Co nas tu wkoło — ze szczebli wszech
 Społeczeńskiego świata,
 Zpod pańskich stropów i sielskich strzech,
 Z salonu i z warstata, —
 Każdy z was serce pobożnie skłoń
 Ku wspólnej miłości wierze,
 I wzajem sobie podajcie dłoń,
 W braterstwo i przymierze!

Albowiem błoga wszystkich tu wieść
 Zebrała wespół nas ninie,
 Albowiem świętę oddajem cześć
 Więzionych braci drużynie;
 Za loch więzienia, więzienny ból,
 Za pręgierz i wygnanie,
 W progu ojczyzny chleb im i sól
 Przynosim w powitanie!

I po staremu, nędzarz czy pan,
 Każdy po strzępie swej szaty
 Na owinięcie braterskich ran,
 Przez obce zadanych katy,
 Drze rad i zwija w kojący zwój
 I krwawą otula bliznę —
 A rannych mnogo! a rannych rój!
 Boć długo w lochu wrzał niemy bój
 Męczarni za ojczyznę!

O, bójo srogi! nad wszystkie wzwyż,
 Jakie nam jeszcze zawarczą!
 Gdzie myśl w męczeński utkwiona krzyż
 Jedyną zbroją i tarczą —
 Jedynym mieczem, pogardy wzrok —
 Wieniec, podziemna pleśń —
 A brzęk łańcucha, co tam krok w krok
 Podzwania z lochu w północny mrok,
 Jedyna tryumfu pieśń!

Nasi go bracia przebyli już,
 Ten bój bez echa i wieści;
 I choć z ran jeszcze, choć jeszcze z dusz
 Ciecze im krew boleści —
 Wszak ciężkie pęta zrzuciwszy z nóg,
 Z wróżebną róższką pokoju,
 Wchodzą zwycięzcy w domowy próg,
 Po walce i po znoju.

A kiedy w domu, na pierwszy świt
 Wschodzącej Polsce swobody,
 By ją wnet podnieść w zenitu szczyt,
 Kto żyw pospiesza w zawody,
 I kord przypasa, i broń do rąk
 Po ojców chwyta zwyczaj,
 I młoda gwardya szerzy się w krąg,
 W obronę swobód i kraju: —

Toć naszych braci więziennych szyk,
 Z orężem światła i słowa,
 Pierw' od nas w świętą służbę tę biegnę,
 Gdy jeszcze ta zorza dniowa,
 Od której brzasku sercom dziś lżej,
 Senna się zdała mara —
 Toć nasi bracia więzienni, hej!
 To nasza gwardya stara!

To gwardya światła! To przednia straż!
 Niezlomna, nieprzedajna!
 Z dwóch strażnic, co je ojczyzno znasz!
 Z szczytów Szpilberga, Kufsztajna,
 W obec Europy, w nocy i krwi,
 Aż się nam noc nie rozedni,
 Strzegąca wiernie ojczystej czci
 Na cierpień straży przedniej!

A jak do cierpień i mąk szli w przód
 Więzienni bracia nasi,
 Tak dziś też gdy ranny wolności wschód
 Coraz promienniejsię się krasi,
 Gdy tron niewoli stem pryska drzazg, —
 Oni nam zapowiednią
 Spełnienia reszty bożych też łask,
 Zbawienia strażą przednią!

I da Bóg, rychło za nimi w ślad
 Ze wszystkich świata końców
 Znow do ojczyzny powróci kwiat
 Jej ofiar i obrońców;
 Z sybirskich śniegów, z algierskich puszczy,
 Z zachodu i wschodu społem
 Wrócą i miasto obcych tłuszczy
 W całej ojczyźnie, za stołem
 Do uczyt zasięga kołem!

Takąto radość, takąto wieść
 Więzienni bracia nam niosą!
 Miłoś zwitania wienca im pleśń,
 Zakrapiać rany im rosą,
 I nim gościnne przyjdzie nam nieść
 Celemu Obozu dary,
 Zawołać: Przedniej straży dziś cześć!
 Cześć naszej gwardyi starej!

C I P C I A.

Gdy jeszcze małe byłem pacholę,
 Wsadzono mię za kratę.
 Gete.

Opowiem wam jedno z wspomnień młodości. By-
 lem bardzo młody, miałem ledwie lat siedmnaście; ko-

chałem namiętnie wszystko co piękne, a cały świat zdał mi się pięknym, i lubiono mię też nawzajem — ileż barw do jasnego obrazu wiosny i szczęścia, do wspomnień, które urokiem swojej pory bywają najdroższymi z całego życia! Ale nie! my nie mieliśmy młodości w odwiecznym znaczeniu tego wyrazu. Ledwie u wstępu w życie, przywalono nas głazem śmierci; ledwie świadomi roskoszy zakątu rodzinnego, poszliśmy w świat na tulaćtwo; z onych barw jasnych osnuł się obraz mroku, dostatecznego do zaćmienia całego życia ponurym cieniem, a te najdroższe wspomnienia, sato wspomnienia cierpienia i więzień.

Po długim gorącym oczekiwaniu zostałem akademikiem. Przepuszczono mię do związku. Z niewysłowionem szczęściem pełniłem pierwsze usługi. Pełniłem wszystko co mi zlecono i ku czemu prócz tego gnała mię gorąca żądza dorównania dawniejszym i świeżym wzorom poświęcenia się dobrej sprawie, żądza dostąpienia kiedyś ich sławy i męczeństwa. To kiedyś nie dało długo na siebie czekać. W kilka tygodni po mojem wtajemniczeniu nadszedł 29 listopada. Cała akademika została zarzuconą wierszami, kończącemi się szumnym hasłem: „Śmierć ciemierzcom — ludom mir!“ Nikt, nawet żaden z towarzyszków związkowych, nie znał autora tej sprawy, ale we dwa tygodnie po niej zajechał ciemnym jeczce rankiem komisarz policji przed ustrome mieszkanie moje i zabrał mię z plikiem zakazanych broszur i rękopismów do — kozy. Nigdy usłyszane z ust kochanki słowo „kocham cię“ nie uszczęśliwiło tak nikogo jak mnie ta chwila uwięzienia. Wszakże byłoby więzienie poślednie, policyjne, nie otoczone jeczce aureolą męczeństwa w ciemnym lochu, w kajdanach. Nie byłoby jeczce karmelity! Jakże się więc ucieszyłem, jaką dumą uniosłem, gdy znowu po kilku tygodniach inny komisarz policyjny późnym wieczorem zimowym zabrał mię pod strażą do — karmelitów!

Byłem u kresu moich życzeń. Wszystkie okoliczności odpowiadały dawnym marzeniom o więzieniach warszawskich i wileńskich. Po uroczystem przedstawieniu mnie, młodszego od lat swoich chłopca, zgromadzonemu trybunałowi starych rajców w jednej sali, po drobnostkowym opisanu i wciągnięciu w księgę więźniów w jakiejś drugiej sali, oddano mię kerkermajstrowi, który mnogimi zakrętami schodów, długimi kurytarzami, poprzez rozstawione wszędzie strażę zaprowadził mię wreszcie przed drzwi otwartej, ciemnej celi. Stróż z latarnią popchnął mię do środka, wskazał goły siennik na ogromnym tapczanie, konewkę z wodą, zatrzasnął drzwi i zamknął je dwoma olbrzymiami kłodami. Odurzony tak nagle ziszczęciem się moich rojeń, oparłem się bezwładnie o tapczan, gdy drzwi znowuż z łoskotem się rozwarły i założono mi łańcuszki na ręce i na nogi. Nie zastanawiałem się wcale nad tem barbarzyństwem bez najmniejszego powodu, bo całą uwagę moją zajął głuchy stuk o ścianę przyległą. Pojąłem, że to więzień sąsiedni się odzywa i odstukałem łańcuszkiem w ścianę. Na to mój sąsiad, zwyczajnym językiem więziennym, wypukiwaniem liter o mur, zaczął rozmowę ze mną. Lecz nie znając jeczce tej mowy, nie mogłem mu zrozumiale odpowiedzieć. Czem zniecierpliwiony, krzyknął przez mur 26 cali grubości: „Idź do okna!“

— „Nie wiem gdzie okno“ odpowiedziałem, bo było ciemno jak w grobie.

— „Naprzeciw drzwi! Stań na pryczy (tapczanie) idź wprost a dosięgniesz okna!“ krzyczał dalej kolega, nie zważając na gwałtowne bicie stojącej na kurytarzu straży kolbą o drzwi, i groźne, znanem węgierskiem przekleństwem akompaniowane: „*Ne larma, Polak!*“

Usłuchałem. Wylazłem na tapczan, postąpiłem kilka kroków, macając rękami przed sobą — wszędzie próżno. Naraz runąłem w jakąś przepaść. Było wprawdzie tylko próżny odstęp między tapczaniem a oknem, lecz tapczan był wysoki, krótko ściągnięte łańcuszki nie dały się zatrzymać — potłukłem się okrutnie.

To odjęło mi ochotę do konwersacyi. Podniosłem się do krwi stłuczony; zaczółgałem się do siennika i spocząłem syty wrażeń dzisiejszych. Mój sąsiad także umilkł; nastąpiła głucha cisza, przerywana tylko jednostajnym odgłosem kroków straży na kurytarzu.

Wtem gdzieś wysoko nademną, słyszę w głębokiej wokoło ciemności i ciszy, głuche puknięcie o ścianę. Inne jeczce bardziej przygluszone puknięcie odpowiedziało na nie. Wszczęła się rozmowa dwóch więźniów, prowadzona z trudną do wyobrażenia szybkością. Wsluchanie się w ten niemy język ogarnęło mię smutkiem bez granic. Ileżto dni, miesiące, lat może, przepukać, przecierpieć trzeba, aby nabyć tak dziwnej wprawy! Pukanie trwało ciężle, a myśl moja upadła pod obrazem tysiąca samotnych, bolesnych godzin i dni, mrocznym stadem szarańczy przytłaczających, zatrujących duszę. Byłato pierwsza próba cierpienia, tem dotkliwsza, im bujniejsza, drażliwsza, prawie dziecinnie młodą wyobraźnię dotknęła.

Na szczęście rychłą ulgę przyniósł głos inny. W oddali bowiem, z drugiego końca kurytarza, zabrzmiała w głuszy nocnej poważnym męskim chórem znana i tyle razy w koleżeńskim kole spiewana pieśń ojczysta:

„Cześć polskiej ziemi, cześć! Ojczyźnie naszej cześć!“

Pobożne te dźwięki spłynęły religijną pociechą w młode serce. Smutek ustąpił uroczystemu rozrzwinięciu. Doznany przed chwilą przestach długiej, nieskończonej samotności utuliła myśl duchowego towarzystwa z tak liczną bracią, żyjącą jednym spólnem dążeniem, jednym spólnem cierpieniem, jedną pieśnią. Ta pieśń, tak droga mnie i tym nieznanym towarzyszom, którzy ją w przedsenną odspiewywali modlitwę, bratała mię ściśle z nimi, wiązała tę chwilę więzienia z chwilami, kiedym wolny z wolnymi przyjaciółmi ją spiewał, cały obecny zwrot mego życia zdał mi się naturalnym, powszednim biegiem rzeczy, zerwałem się pelen dawnej, młodzieńczej otuchy i weselości z więziennego tapczana i wybrzękując takt łańcuszkami, zawtórowałem hożem gwizdaniem spólbrotnemu chórowi.

Potem ze smutku i radości, z rezygnacyjnego powitania przyszłych cierpień i z wesela dostąpionej czci przesładowania za ledwie poślubioną sprawę, wystąpiły mi nagle łzy do ocz, wróciłem pobożnie skruszony na siennik i zasnąłem snem młodym, nieprzebudzonym ani głosnemi zmiany straży, ani łoskotnem otwieraniem i zatraskaniem kilkudziesięciu drzwi przy dwukrotnem różnicie conocnem.

Nazajutrz rano ocknąłem się z najmocniejszym przekonaniem że miałem senne widzenie w nocy. Stała mi ciągle jeczce przed oczyma jakaś postać olbrzymia, oświetlona rażącym, czerwonym blaskiem. Nie

mogłem myśli od niej oderwać. Zaledwie ciekawość bliższego obeznania się z miejscowością mojej celi usunęła mi ją z przed wyobraźni. Nie zaraz jednak zdołałem się rozpatrzyć dokładnie w nowym mieszkaniu. Małe bowiem czworograniaste okienko, obwarowane podwójną kratą, siatką drucianą i drewnianym koszem zewnątrz, skąpo zaopatrywało światłem. Zwłaszcza w zimie, gdzie od trzeciej godziny zpołudnia do dziewiątej zrana jednostajny w takich celach mrok wciąż panuje. Jest wprawdzie jeszcze małe okienko we drzwiach, zaopatrzone z strony wewnętrznej grubą, nakształt tarka podziurawioną blachą, z zewnątrz zaś dwoma na krzyż przybitymi sztabami żelaznymi i takimiż drzwiczkami, któreby cokolwiek światła z kurytarza przedrzeć się mogło, lecz okienko to służyło wówczas tylko do ciągłego nadzorowania więźnia przez strażę, a dla wpuszczenia światła nigdy go nie otwierano. Długo więc rozeznawałem z osobna każdy z ciemności wynurzający się przedmiot, aż wreszcie ujrzałem się w długiej, przeszło dwanaście kroków od drzwi do okna mierzącej celi, której całą prawie szerokość zajmował kolosalny tapczan, oparty o lewą ścianę a ledwie wąski przestrzał między sobą a prawą ścianą zostawiający. W kącie przy drzwiach stał niski, krągły piec żelazny, otoczony małą przyspą. Prócz tapczanu, były duża konew i miotła dwoma głównymi sprzętami celi. Okno, prócz tego że wąskie i poczworną, omroczone zasłoną, było nadto jeszcze tak wysokie, iż tylko w całej długości ramię w górę podniosszy, palcami gzymsu dosięgnąć mogłem. Przechadzającej się zaś na dworze pod oknem straży dostawał kosz drewniany ledwie do piersi, z czego pojąć można, jak znaczna część celi właściwem podziemiem była. Ztąd też ciągała w niej stęchłość powietrza i wieczna wilgoć. — Był to nr. 8, jedna z najgorszych cel karmelickich. Sąsiada mego z nr. 9, który wczoraj tak niepomysłnie w konwersacyę mię wciągnął, przeniesiono zrana pod inny numer, a miejsce jego zajęli czterej więźni, partyzanci ze sprawy Zaliwskiego, niedugdy rzemieślnicy: jeden mularz, drugi stolarz, trzeci rusznikarz. Byli to ludzie niebyt uczeni i piśmienni, chociaż mularz wiersze nawet czasem układał, ale uczciwi, odważni i najzaciejsi koledzy. Zazwyczaj siedzieli wówczas więźni polityczni po jednemu w każdej celi; nowi sąsiedzi moi stanowali jedynie prawie wyjątek. Znajomość z nimi zabrałem w szczególny sposób. W kilka godzin po ich zagospodarowaniu się pod nr. 9, słyszę stukanie w ścianę. Odpowiedziałem podobnie. Zamiast zwykłego pytania o nazwisko i sprawę, zamiast wdawania się w długą rozmowę przez pukanie, o niedolności mojej do czego sąsiedzi już jakimś niewiadomym mi sposobem byli się dowiedzieli, doleciał mię tylko głuchy głos z poza ściany:

— „Przyłóż ucho do muru!“

Uczyniłem tak.

— „Czy masz tabakę?“ ozwał się głos powtórnie.

— „Nie mam.“

— „Kaź sobie przynieść.“

— „Dobrze.“ Na tem przerwała się rozmowa. Należy zaś wiedzieć, że tabaka powszechnie do pierwszych potrzeb więźnienia liczy. Ależ ja nigdy jej nie lubiłem, a niedługo jeszcze wdechane powietrze stęchłe, potrzeby jej czuć mi nie dało. Na coż więc miałem żądać tabaki? Ztemwszystkiem musi w tem jakaś przyczyna być, pomyślałem, a kiedy mi śniadanie przyniesiono, kazałem

sobie z obiadem przynieść tabaki. Wydatki takie, jakoteż kosza lepszego wikt, opędzał każdy więzień ze swych pieniędzy, złożonych w kasie sądowej. Ja wniosłem z sobą szczupły zasilek kilkunastu reńskich, które ledwie na kilka tygodni wystarczyć mogły. Było jednak za co zadysponować tabaki.

Czekając na nią, słyszałem przez kilka godzin jakiś ciągły szmer w ścianie sąsiedniej, u spodu, w kącie przy oknie. Im dłużej się wsłuchiwałem, tem głośniejszy szmer się wznosił. Nagle wyskakuje ze ściany długi pręt, zakończony szpiczastem żełezcem, które na wskrós mur przewierciło. Był to nowy dziw dla mnie. Wszelako dłuższy pobyt w więzieniu nauczył mię jego praktyki. Odrywało się żełezce od zawiasu przy oknie, wyostrzyło się je o piec żelazny, przymocowywało do najgrubszego, kilka razy sztukowanego prętu z miotły, a dzięki takiemu narzędziu, można było, upatrzwszy w ścianie miejsce spojenia dwóch cegieł, w przeciągu kilku godzin przeswidrować dziurę w najgrubszym murze. Takim też sposobem, jeden z moich sąsiadów, biegły w takich rzeczach mistrz, mularz, otworzył wnet komunikacyę między nr. 8 a 9. Pierwszym głosem, który przez ten otwór się przebił, było:

— „A masz tabakę?“

— „Mam.“

— „Zawińże ją w szmatkę i przywiąż na sznurku do żełezca; tylko pmiętaj dobrze zawiąć szmatkę, aby się nie przedarła.“

Wrychle znalazła się szmatka, sznurek, zrobiła się torbeczka u żełezca, a tabaka pojechała szczęśliwie do nr. 9.

Był to więc tabaka nie dla mnie, lecz dla moich sąsiadów. Nie mając zasilków z domu, żyli oni tylko ze składek dobroczynnych, z których przynależąca im część niekiedy w kasie przytrzymywano. W takim razie cierpieli biedacy niedostatek najniezbędniejszych przysmaków tabaki i soli, i u pierwszego lepszego kolegi poratowania szukali.

W nagrodę za tabakę wtajemniczyli mię sąsiedzi moi we wszystkie pierwiastkowe sekreta więzienne, jakoto: wydlubywanie dziurek we drzwiach i w koszu u okna, robienie igieł z kostek i drutu siatkowego u okna, snowanie nitki z prześcieradła, podwijanie i podpasywanie sobie łańcuszek u rąk i nóg itd.; nauczyli mię dalej systematycznie mowy pukania, zapoznali z dalszymi sąsiadami i oznajmiali mi porę, kiedy do okna na rozmowę wyłazić było można. W tem skrzydle klasztoru, w którym mnie osadzono, mieszkało nas 8 kolegów politycznych, to jest prócz mnie i czterech sąsiadów moich, na pierwszym piętrze, nademną: były podchorąży warszawski Kawecki inaczej Lubiński, na prawo od niego, nad moimi 4 sąsiadami Ludwik Jankowski, oskarżony o tożsamość osoby z byłym akademikiem warszawskim i jednym z 18 Belwederczyków, Jankowskim, wreszcie obok niego w narożnej celi Henryk Dmochowski. Wszyscyśmy mieli swoje osobne nazwy więzienne, po których wzajemniemy się wołali. Chrzcił zwykle wszystkich kolega-podchorąży. Czterej sąsiedzi moi zwali się jednym ogólnym mianem „Rzeczpospolita“, sam podchorąży miał na imię więzienne „Aparat“, Jankowski „Książę“, Dmochowski „Jargogul“, ja „Bagnet“ a dla mojej młodości za zwyczaj „Bagnecina“. Porozumieliśmy się wszyscy w kilku rzuconych przez okno słowach, a gdy zupełne zor-

ganizowanie się towarzystwa w skrzydle naszym na dłuższy czas nastąpiło, obrał sobie każdy pewną nutę narodową, za której wzgwidaniem przez koleżę u okna, wezwany nią natychmiast do okna stawić się musiał.

Tak zaprowadziliśmy pierwszy ład w naszej więziennej osadzie. Oswoiłem się nieco z zwyczajami więzienia. Była nadzieja utrzymywania komunikacji i towarzystwa. Ponieważ jednak każdy świeży więzień surowiej był dozorowany, przeto należało wystrzegać się, aby nas nie podsłuchano i okien na kłódki nie zamknięto. Nadto byłoby w zimie i trudno przychodziło siedzieć długo u otwartego okna bez stosownej odzieży. Mało więc na teraz korzystaliśmy z towarzystwa, zwłaszcza że Aparat z Księciem przez pukanie rozprawiał, a Rzeczpospolita pomiędzy sobą w głos rozmowę wieść mogła. Pozostawałem więc po największej części ograniczony na siebie samego w swojej celi, i bawiłem się jak mogłem młodemi myślami i rojeniami w samotności.

Samotność ta była tem zupełniejszą, że jak wspomniałem, od trzeciej godziny z południa do dziewiątej zrana jednostajna ciemność nas otaczała. Wtedy nie można było ani dziurek dłubać, ani igieł robić, ani dawnych napisów drutem na ścianie czytać, ani też samemu nic takież narzędziem na ścianie skrobać. Nie chcąc sobie głowy o mur a nóg o tapczan ustawicznie otłukiwać, nie można było nawet przechadzać się po ciemku. Słowem, nie zbywało nic, jak tylko leżeć bez ruchu na „pryczy“, lub co najmilej było, przykucnąć na przyspie pod piecem i puścić wodze błędnym dumaniom, lub w zupełnej zaciszy i zaćmie duchowej i cielesnej przysłuchiwać się różnym gwarom milczenia więziennego.

Bo jak w guszy lasu, odzywały się w niem także różne tajemne głosy, które tylko ucho więźnia rozróżniać umie. Prócz odgłosu kroków straży na kurytarzu — słychać tam zdaleka głuchy puk rozmowy o ścianę, podobny do stuku dzięciołów o drzewo; wówał przybrzmiewają półdźwięki lubej piosenki ojczyściej; gdzieindziej słyszysz jakieś dziwne, krótko powtarzające się gwizdanie, podobne do gwizdu wilgi w lesie, a jeszcze dalej inne podobne gwizdanie zda się odpowiadać tamtemu: sąto dwaj oddaleni od siebie więźnie, którzy jak inni, bezpośredni sąsiedzi pukaniem, tak oni wygwizdywaniem liter kilkugodzinną — jeżeli węgierskie straże kolbami i przekleństwami do mileczenia ich nie zmuszą — rozmowę z sobą wiodą.

Wtem uderzyła na bernadyńskiej wieży ósma godzina. Powstaje gwar na kurytarzach; zmienia się straż. Gdy się wszystko znowu uspokoiło, uważasz, że chodzący przed drzwiami żołnierz na warcie zatrzymuje się nieco, ilekroć cełę twoją ma minąć. Przy trzecim zatrzymaniu się, zapukał zcicha do okna we drzwiach. Ale znow poszedł dalej. Zrywasz się, stajesz pod drzwiami, słuchasz. Węgier wraca i — puka zcicha. Pytasz drzącym półgłosem: „Co tam?“

— „Kartka“ odszepnął uczciwy Węgier i odszedł, bojąc się aby go inny żołnierz na straży nie podchwycił.

Czujesz jak ci ogień do twarzy bije — serce się tłucze —

Węgier zbliża się znowu i odchyła okienko u drzwi, ale blaszane tarko nie pozwala wściubić kartki. Miął więc znowu, a ty płońiesz.

Wreszcie za którymś razem, stanął, przyparł drzwi kolanem i wetknął kartkę przez szparę. I odszedł, a ja z kartką w rękę, w grobowej ciemni.

— „Od kogo?“, pytam niecierpliwie, gdy Węgier znow przechodzi.

— „Od Cipei“ rzekł i odszedł.

— „Od Cipei? ktoż to? ktoż to?“ pytam sam siebie. „Nie znam tego imienia. Nie znam żadnej kobiety, któraby do takiej korespondencji zemną powód miała... „Otwórz okienko“ — wołam znowu na przechodzącego żołnierza, ale blaszane tarko nie dozwala przy świetle lampy kurytarzowej odczytać drobnych liter liścika. Nie widać nic, tylko jedno nieco czytelniejsze słowo podpisu „Cipeia.“

Coż za męczarnia czekać światła dnia jutrzejszego!

(Dokończenie nastąpi.)

© cenie „Dziennika narodowego“.

Jeszcze przed 2 tygodniami otrzymaliśmy poniższy artykuł przeciw „Dziennikowi narodowemu“. Nie spieszyliśmy z ogłoszeniem, bo czynione w nim „Dziennikowi“ zarzuty są wręcz niesłuszne. Gdy nas atoli ciębie domagania się w imieniu dobra powszechnego o umieszczenie ich dochodzą, a nasza własna odpowiedź na nie, wielu innym podobnym głosom ku objaśnieniu posłużyć może, przytaczamy rzeczony artykuł wraz z odpowiedzią.

„W piątek, to jest dnia 24 marca, zjawilo się nam pismo pod godłem „Dziennik narodowy“ pana Korcekiego, które co dzień, wyjąwszy niedziele i święta, po pół arkusza wychodzi, a rocznie 20 zr. mon. konw. kosztuje. Nie zapuszczając się w rozbiór treści i dążenia tego pisma, zapytuję się szanownego redaktora wspomnianego dziennika, dla czego pismu temu takie nadał godło? Według zdania mego, pismo, które rocznie 20 zr. m. k. kosztuje, choćby było treści najlepszej, nie jest dla narodu, tylko dla ludzi bogatych, bo ktoż z ludu ubogiego, którego liczbę do bogatych jak 8 do 10 przyrównać można, jest w stanie kupić sobie tak drogie pismo? Czyliż nasz wieśniak lub mieszkaniec małych miast jest w stanie pomimo największą chęć czytania odłożyć na niego taką sumę? Kto dziś chce narodowi usłużyć mową, pismem lub czynem, nie powinien drogo sprzedawać talentów swoich, nie szukać z okoliczności nieczemnych zysków dla siebie. Niechaj dzisiaj wszysej społeczeństwu, każdy według sił swoich, przyczynią się jak najtaniej do wzniesienia świątyni szczęścia ludu, tym tylko sposobem naród w krótkim czasie zkorzysta z światła, które go uszczęśliwi.

Dobrzeby szanowny redaktor uczynił, gdyby albo zmienił nazwę pisma swego, lub tak cenę zniżył, ażeby i klasie uboższej narodu przystępnem było, bo dziś idzie nam szczególnie o oświatę ludu, który tyle wieków w ciemności błądzi. — M. Jabłoński. — Wolno drukować. Lwów 26 marca 1848. Gołuchowski.“

Przedewszystkiem dobrzeby szanowny autor tej inwektywy sam był uczynił, gdyby się bogdaj najpowszechniej nad różnicą między pismami narodowymi a pismami dla ludu był zastanowił. Toć przecie nikomu już nie tajno, że elementarz i rozprawy polityczne wcale różną są rzeczą, jakoteż, że dziennik narodowy głównie rozprawy polityczne, pisma zaś dla ludu pierwsze elementarne wiadomości zawierać mu-

szą. Zespolenie jednego z drugim wydałoby Dziennik, któryby dla jednej klasy był zbyt cennym, dla drugiej niezrozumiałym. Jeszcze w czasach, kiedyśmy ledwie na jedno pismo koncesję otrzymać mogli, żądanie takiej wszechstronności miało poniekąd słusność za sobą, lecz teraz nie wątpimy, że obok Dziennika narodowego powstać wkrótce osobne pismo dla ludu, i to nie jedno pismo, lecz kilka, zastosowanych do różnych stopni oświaty, na jakich różne stany u nas dziś stoja.

Przez to jednak niezupełnie jeszcze zbity jest zarzut p. Jabłońskiego; pozostaje bowiem według niego przypuszczenie, jakoby grzech ciągnięcia niesłusznych zysków tylko względem ludu był grzechem, a względem majątnych pewna reserwaacya zachodziła. Wszakże Dziennik ani majątnych zdierać nie myśli. O ile zaś roczna cena 20 reńs. sr. na grzech niesłusznych zysków naraża, może rozstrzygnąć każdy, kto wie, że roczna opłata stępla i poczty każdego egzemplarza 8 zr. sr., t. j. blisko połowę całej ceny wynosi. Wie też zapewne p. Jabłoński, ile druk przeszło 300 arkuszy kosztuje. Gdyż przypuszczenie p. Jabłońskiego, jakoby dziennik nar. „codziennie po pół arkusza wychodzić miał“, wynikało z niezajomości rzeczy. Owszem, nie zniżając ani podnosząc ceny, zamierza redakcyja Dziennika wydawać od pewnego czasu codziennie arkusz pisma. Raczy więc p. Jabłoński sprostować „zdanie swoje“ o cenie Dziennika, a mieć nieco baczniejsze oko na jego „treść i dążenie“, w które zapuszczać się nie chce. Co zaś do „wzniesienia świątyni szczęścia dla ludu“, do którego p. Jabłoński jaknajtaniej przy czyniać się radzi; do tego redaktor i wszyscy współpracownicy Dziennika nie tanim kosztem, ale owszem kosztem wszystkich sił swoich przyłożyć się zawsze pragnęli i pragną.

Koniec sporowi ale nie sporom!

Gdziekolwiek oko i ucho zwrócim, czytamy i słyszymy Odezwy do Zgody i Jedności! Ale jakże bywa ta zgoda i jedność zazwyczaj rozumiana? Oto kiedy demokratą do zgody wzywają, ma to znaczyć: aby arystokraci czołem mu uderzyli; kiedy arystokrata jedność ogłasza, znaczy to, iż demokratów do pocałowania ręki przypuszcza; głupiec i frant wykrzykują w uniesieniu: nie masz już niezgody! niech przepada niejedność! a tymczasem jeden z nich daje się okraść a drugi kradnie; doktryner zaś obwołując pojednanie, wchodzi w targ i kończy rzecz obopólnymi koncesjami. Z tych wszystkich, przyznajemy, najbardziej podoba się nam wzór doktrynera. Tak, z obopólnej strony koncesye! z tą jednakże parlamentarską poprawką, aby koncesye były skutkiem nie targu ale boju. Walczmy więc, sieczmy się wzajem, rozumie się piórami, lecz okażmy w postępowaniu naszym tyle postępu, abyśmy się na wartości padających z jednej i drugiej strony ciosów argumentowych poznać umieli. A potem zwycięzcy lub zwyciężeni uderzmy w zgodę! Jakoż dając z siebie pierwszy przykład słusności, uznaje się redakcyja w wywołanym przed wielą tygodniami sporze o Pisarzach i Niepisarzach zwyciężoną — z tem przecież zastrzeżeniem, że nie chciała wcale wywołać takiej walki, jaka się w skutek jej artykułu „krytyka niepisarzów“ zapaliła. Jedynym naszym zamiarem było, podrażnić

młodych zbiegów literackich, którzy już dowody swego uzdolnienia złożyli, a dalej talentami swemi krajowi służyć nie chcą. Uczciwych zaś obywateli, którzy się nigdy pod sztandar literacki nie zaciągali i nie nam przeto nie zawinili, a owszem pod swoim sztandarem obowiązków ziemiańskich wiernie krajowi służą, do zbiegostwa w nasze szeregi nakłaniać, nigdy nam przez myśl nie przeszło. Jednakże tak tę rzecz w ciągu rozprawy przekreślono, a niewinna redakcyja została gradem rękopismów Niepisarzów zarzuconą. Od czego chroniąc się nadal, oświadczamy, żeśmy tego fałszywego alarmu bynajmniej nie zamierzali, a dla zakończenia wszelkich dalszych w tej mierze sporów udobruchaniem zacnego ziemianstwa, najserdeczniejszym przyznaniem, że wszelkie jego niepisarskie zasługi należą cześć u nas mają, dajemy ostatni w tej sprawie głos czcigodnemu Nieznajomemu, którego byśmy zresztą radzi pod chorągwią naszą widzieli, a który też w obecnem politycznem poruszeniu nie schowa zapewne światła swego pod korcem.

List do redakcyi: „Dość tych o nas poswarków panowie! Czas je zakończyć słowem surowej lecz zycziwej prawdy. Bo przycinki, przedrwiwania, jako odiosa raczej jątrzą niż nauczają, a holenderska dewiza ma i dla nas swoją wartość.

Że tam ktoś z ołówkiem po stolicy wzorki zbiera, dworuje, śmiać się rad i wysmiewać, za to bracia nie stoja. Drwić z drwiarza niewzbronno, ale za jednego mścić się na wszystkich nie przystoi. Nie na czasie dworować z obywatelstwa, kiedy pierwsze podniosło głos za ulżeniem ludowi wiejskiemu, za założeniem szkoły, to jest kasy oszczędności dla ludu, za ugruntowaniem kredytu ziemskiego, za ustaleniem nauki języka krajowego i za jego używaniem, za ulepszeniem komunikacyi handlowych, za poprawą gospodarstwa krajowego, kiedy przodkuje w przykładaniu się do wszelkiego postępu, do otwarcia skarbow literatury krajowej i uczynienia przystępnymi onychże powszechności klas mniej zamożnych, itd. Jeżeli więc nie pisze książek szlachta, toć umie je czytać, myśli i działa; dowody w powyższem. Bzdurzy zatem, kto utrzymuje, że posiadanie wioski jest na nieukostwo i ślepotę przywilejem, że szlachta na umyśle i na uczuciach kosztawiejie wychowaniem domowem. Wychowanie domowe dziś zaledwie najzamożniejszym rodzinom dostępne.

Szlachta jest producentem w roli, a w dzisiejszych mianowicie okolicznościach, gospodarstwo wiejskie nie jest synekurą. Od porządnego prowadzenia tego rzemiosła niewiele zostaje do czytania i pisania wolnych, a mniej jeszcze swobodnej myśli chwil. Od szlachcica na jednej lub na dwóch wioskach wymagać, aby zakładał bibliotekę, zbiory mineralogiczne, botaniczne, chemiczne laboratoria itp., a powierzysz wojcikom lub gorzej jeszcze podstarościm majątności, zagłębił się w szperaniu dziejów, śledzeniu zjawisk przyrody, skreślaniu obrazów serca ludzkiego itd., i pisał dzieła lub przynajmniej artykuły do dzienników, jestto skutkiem dość jeszcze upowszechnionego obłędu, że majątność wiejska jest Hesperydów ogrodem, złote przez się owoce rodzącym. Iluzto z pomiędzy nas drogo ten obłęd przepłaciło, tak drogo, że one rajskie niby na wsi rososze na żebracze zmienić musieli tulactwo! Minęły i niepowrotnie błogie onego, że tak powiem, w społeczeństwie narodowem majoratu dla szlachty epoki, kiedy to innym żmudliwe i niewdzięczne z na-

chylonom ku ziemi czołem prace, jej zaś samej krwa-
we wprawdzie lecz świetne, wesoło i hojnie nagradza-
ne zostawały do spełnienia obowiązku. Lecz jeżeli ma-
rzenie o onych epokach niewzbronnie jednym, niechże
i nam podobną wybaczą słabostkę. Sąto wszakże
ostatnie tylko potrącenia konających wspomnień w obec
twardej bezwzględnej terażniejszości.

Dość dziś z wiejskiego szlachcica, jeżeli obok świę-
tego powołania przewodniczenia ludowi przykładem
w wierze, pracy i obyczajności, umie i chce oszczę-
dzić na tyle, aby wspierał nauki i wszelki postęp. A
starczy mu sił i czasu, a wyrobi jeszcze w sobie uspo-
sobienie umysłowe do pisania, a odważy się w naj-
lepszej chęci myśl na papier wylać powierzyć czy-
chającym jak na grzeszną duszę krytyce i cenzurze,
tem mniej zasłuży na zarzuty jakie go spotkają. Gdzież
jeżeli nie w obywatelstwie prenumerantów i piszących
większość? Wszakże co prawda to nie grzech. By-
wały do zbytów pokusy, te ustępują surowej ko-
nieczności utrzymania się; paplano francuszczyzną, ta
się już tylko w wierzchnych i wietrznych płące war-
stwach. Śmiejemy się też z onych pseudomoralistów
bluzgających nam zarzutami trzymania się pańskiej
klamki i dmuchania herbami. Kto ma herb, ten się
niedawno (czy w r. 1846?) cenił jego posiadanie nau-
czył, a zresztą, są herby i w Anglii, a daj nam boże
i ludu, i praw, i szlachty jak angielskie. Co zaś do
klamek, te dawno na klucze przerobiono. Lekkomysł-
niśmy, to wielka prawda; a od czegoż wędzidło? A
lichoż po flegmie, kiedy wszystko cwałuje. Nie zapie-
rajmy się też i innych przywar, szulerki, zarozumiało-
ści, lekceważenia powinności itd. Aleśmy winy świa-
domi, a więc i poprawy żądni. A jeżeli piekącą łą-
żalą za usterki przeszłości, ognistszem jeszcze pragnie-
nie poświęcenia się dla powszechnego dobra i odpla-
cenia zociągniętego w przeszłości długu choćby ostat-
nią krwi kroplą i ostatnim szelagiem. Proszę wierzyć,
pamiętać ale i przypominać.— 11 marca 1848.— Stary
szlachcic.

Wszelako pojednawszy się w ten sposób z niepi-
sarzami, nie zrzekamy się wcale sporów innych, spo-
rów z wszelkiego rodzaju przesadami i zdrożnościami.
Owszem im bliższe rozstrzygnięcie walki, tem gęstsze
razy. Spodziewamy się tylko, że mając teraz wolniej-
sze ręce, mogą każdą rzecz nazwać po imieniu, uni-
kniemy nieporozumień, na jakie dotąd okoliczności nas
narażały. Sierzmierząc otwarcie do ostatniego tehu ze
stęchłym możnowładztwem i jego poplecznikami, z te-
mi pośmiertnymi upiorami, które za życia kraj zgubi-
ły, które po śmierci swoją trupią zgnilizną zdrową
część narodu zarażały, które jeszcze w obecnej chwili
odradzające się życie jego w dawną martwość para-
lizować pragną, nie popadniemy już w podejrzenie,
jakobyśmy na zdrowy pień naszego narodowego
drzewa, to podziśdzień pełne zasług i poświęcenia zie-
miaństwo, to dawne i terażniejsze, umysłowe i orężne
Rycerstwo nasze, szaloną targnąć się śmieli ręką. Owszem
tuszymy mieć ich najgorliwszymi sprzymierzeńcami i
towarzyszami walki. A walka nasza, dzięki bogu, co-
raz łatwiejsza. Już większa część popleczników Złotej

Chorągwi przeszła na stronę światła. Nie wąpiliśmy,
mając tylko światło za sobą, a większość przeciw so-
bie. Dziś, kiedy światło i większość z nami — nie
zatrwożą nas czeze imiona.

Widowiska na rzecz więźniów uwolnionych.

Do poparcia szlachetnych celów towarzystwa dam,
zawiazanego ku niesieniu bratniej pomocy oswobodzo-
nym więźniom stanu, przyczyniły się niemało publicz-
ne widowiska, których jużto cały jużto częściowy do-
chód temu dobroczynnemu celowi poświęcono.

Najprzód pan E. Beranek przeznaczył połowę
dochodu z swego przedstawienia sztuk konnych w cyr-
ku gymnastycznym w ogrodzie pojezuickim, dnia 5
kwietnia r. b.

Następnie pan Williaba Frikel artysta nadworny
króla Greckiego, wslawiony za granicą sztukmistrz, od-
stąpił cały dochód z swego pierwszego przedstawie-
nia magii bez aparatów, w dawnej sali reductowej,
dniu 8 kwietnia r. b.

Wreszcie najświetniejszą zasługę w tej mierze po-
łożyło widowisko teatralne z dnia 11 kwietnia, wypra-
wione przez miłośników sztuki dramatycznej,
panie Cel. Rogojską, Lud. Barącz, Józ. Bystrzanowską,
Izab. Zagajewską, tudzież panów Kaj. Rogorskiego, Kaj.
Baracza, Jak. Antoniewicza, Miecz. Darowskiego, i Fr.
Siemianowskiego, którzy odegraniem dwóch znanych
sztuczek „Szlachta czynszowa“ i „Szkoda waśów“, za-
kończonych chórowym odśpiewem wierszu M. Boloza
„Do Wszystkich“ i tańconemi przez kilkadziesiąt par
polonesem, krakowiakami, przeszło 1200 zr. sr. czy-
stego dochodu do kasy pomocy bratniej wnieśli.

Składamy im tu wszystkim publiczne dzięki w imie-
niu oswobodzonych braci i dobrej sprawy.

M O D Y.

Z Paryża, dnia 9 kwietnia 1848.

Stroje damskie. Podajemy dzisiaj naszym
czytelnikom dwa całkowite ubiory wiosenne: Suknia
od wyjścia jedwabna, ciemno popielata, wyszyta zprzo-
du od góry aż do dołu taśmą szmuklerskiej roboty;
stanik gładki, wysoko zachodzący, ubrany tak jak spo-
dnica, rękawy obcisłe, zaokrąglone koło ręki, otwarte
po łokieć, pod spodem rękawki muszlinowe; kapotka
krepowa; narzutka mieniąca jedwabna, z przodu spięta,
na ramionach zeszyta i szeroką falbaną czarną koron-
kową obszyta. Szlafroczek fularowy w wielkie kraty
brązowe i białe garnirowany wstążką jedwabną, po-
dobną do sukni; stanik otwarty z przodu, marszczony
na ramionach i w pasie; plecki marszczone w dole, i
cały stanik obszyty do koła wstążką jak spodnica, pa-
sek długi z wstążki jedwabnej; rękawy półdługie otwar-
te; podkładka i rękawki marszczone; szal kaszmirowy
zielony, kapotka biała jedwabna; kania obszyta trzy
razy blondyną, przystrojona bukietem fiołek Parmen-
skich.